Agnieszka Mergalska

Papierowe gwiazdozbiory



Papierowe gwiazdozbiory

Agnieszka Mergalska

Papierowe gwiazdozbiory

Copyright © Agnieszka Mergalska
Copyright © Ostre Pióro

Wydanie I
Szczecin 2026

ISBN (druk): 978-83-68498-76-9
ISBN (e-book): 978-83-68498-72-1

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Wydawca zezwala na udostępnianie okładki książki w internecie.

Redaktor prowadząca
Monika Całka | kropkaispolka.pl

Projekt okładki
Katarzyna Seredin-Kolarczyk | www.kaes-seredin.pl

Ilustracja na okładce
Magnific.com

Redakcja
Marta Zabielska

Korekta
Monika Całka | kropkaispolka.pl
Agata Torba

Projekt typograficzny, skład i łamanie
Katarzyna Seredin-Kolarczyk | www.kaes-seredin.pl

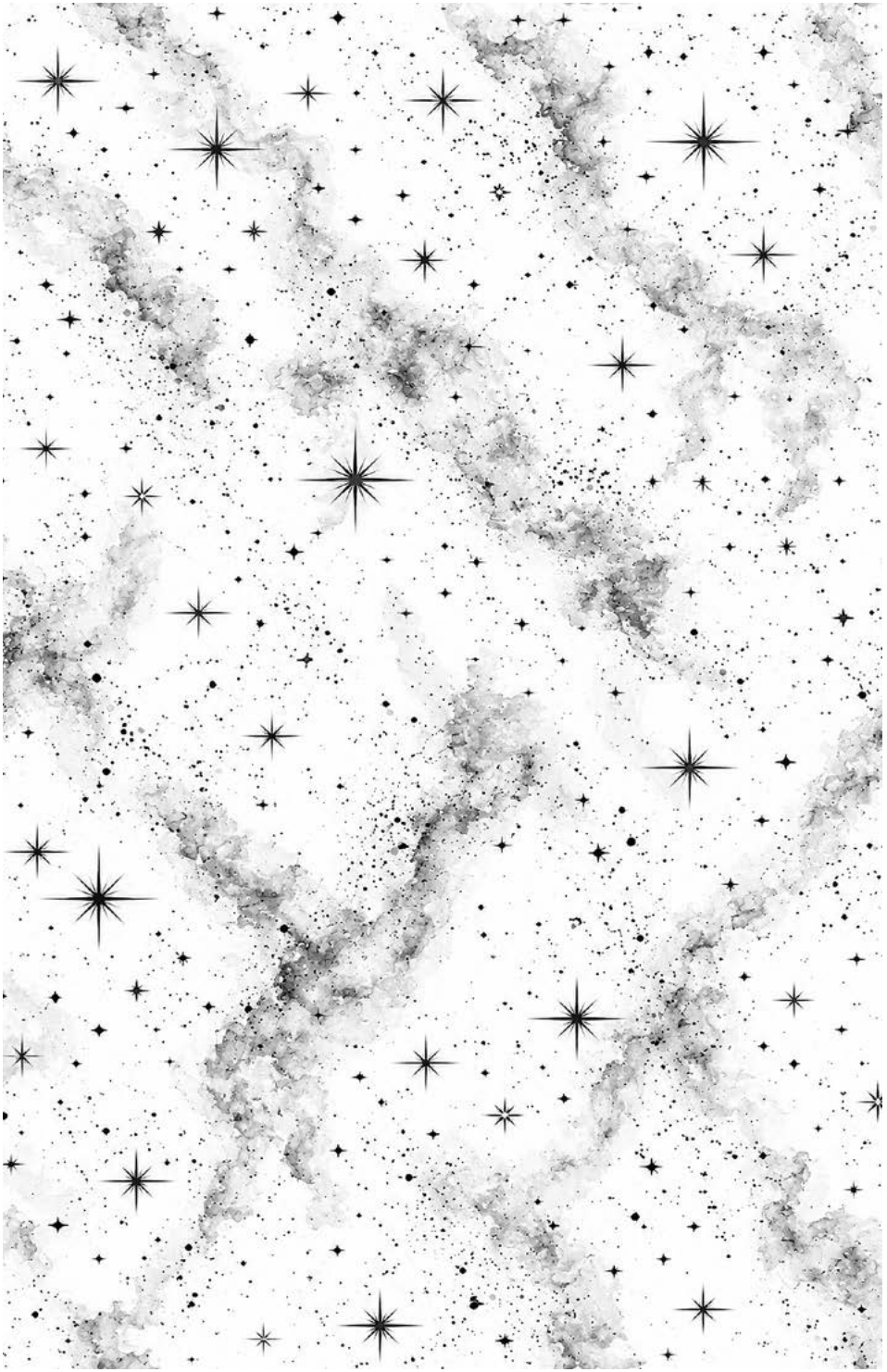


Wydawnictwo
Ostre Pióro
www.ostre-pioro.pl



Dla wszystkich, którzy wciąż szukają swojego miejsca na świecie.
Bo każdy z nas ma prawo do własnego Błękitnego Zamku.

Dla mojej siostry Sylwii – bo zawsze we mnie wierzysz,
i dla Łukasza – Jesteś moim Błękitnym Zamkiem.





Rozdział 1

Kancelaria Mikklasen i Spółka była jedną z najstarszych w centrum Oslo.

Wszyscy doskonale wiedzieli, że dawno temu, jeszcze za czasów, gdy stolica nosiła nazwę Christiania, pierwszy Mikklasen był asesorem. Od tamtych dni rodzinna tradycja trwała – aż przerodziła się w tę właśnie kancelarię.

Obecnie głównym udziałowcem był Tarald Mikklasen. Był postawnym, wysokim mężczyzną o silnej sylwetce. Nosił się poważnie, a gdy – jak mawiał – przebywał przy „dworze", jego stroje cechowała zawsze klasyczna elegancja. Niegdyś rude, lekko kręcone włosy, przetykane teraz licznymi siwymi kosmykami, nosił elegancko przystrzyżone, podobnie jak siwo-rudą brodę. Na świat patrzył bystrymi, szarymi oczami – bez oceniania czy pogardy.

Tarald był człowiekiem sprawiedliwym i dobrego serca, a przy tym doskonałym prawnikiem. Jeśli już podejmował się jakiejś sprawy, zawsze doprowadzał ją do końca.

A gdy postanowił, że jego młody podopieczny, prawa ręka Vetle Berg, powinien wreszcie zakochać się i przestać choć na chwilę myśleć wyłącznie o pracy – to choćby miał użyć podstępu, doprowadzi do tego.

Vetle od lat był dla niego jak syn. Mądry, lojalny, a przy tym uparty perfekcjonista, który potrafił spędzić całe noce w kancelarii. I stanowczo twierdził, że nigdy z nikim się nie zwiąże. *Ale przecież ten drobny szczegół nie miał znaczenia… prawda?* – pomyślał Tarald, spoglądając przez okno na nadchodzącego Vetlego.

Vetle Berg, jak co poniedziałek, szybkim krokiem zmierzał w stronę Kancelarii Mikklasen & Spółka. Młody mężczyzna o chmurnym obliczu sprawdzał w myślach poprawność dokumentacji przygotowanej na dzisiejsze spotkanie z konsorcjum budowlanym.

Był wysoki, dobrze zbudowany i smukły, o niebieskich oczach i surowych rysach. Perfekcyjnie przycięte włosy, nieskazitelna koszula i świetnie skrojony garnitur podkreślały jego profesjonalny chłód.

Jak zwykle zatrzymał się w małej kafejce po bajgla i czarną kawę – bez mleka, bez cukru, za to z odrobiną rutyny. Przed samym wejściem do kancelarii potknął się o nierówny chodnik i spojrzał w górę – w oknie stał Tarald Mikklasen, z uśmiechem, który mógł oznaczać tylko jedno.

Mój Boże… co on znowu kombinuje.

Drzwi do kancelarii zatrzasnęły się za nim z kliknięciem. Zanim zdążył zdjąć rękawiczki, dopadła go Sofie – różowe włosy, zielona sukienka w grochy i okulary z oprawkami w szkocką kratę.

– Dzień dobry, panie Berg! – zawołała tonem, który mógłby obudzić martwego.

– Dzień dobry, Sofie – westchnął Vetle z rezygnacją.

Zanim odwiesił płaszcz, Sofie zdążyła już przypomnieć mu o spotkaniu z konsorcjum o dziesiątej, poinformować

o przesunięciu rozprawy w sprawie Fjord Tech, a na koniec dodać, że ktoś znów wypił całą kawę z ekspresu.

– A, i jeszcze jedno! – zawołała, gdy już odchodził. – Pan Mikklasen kazał, żebyś natychmiast do niego zajrzał. Powiedział, że to bardzo pilne.

– Pilne? – zapytał podejrzliwie.

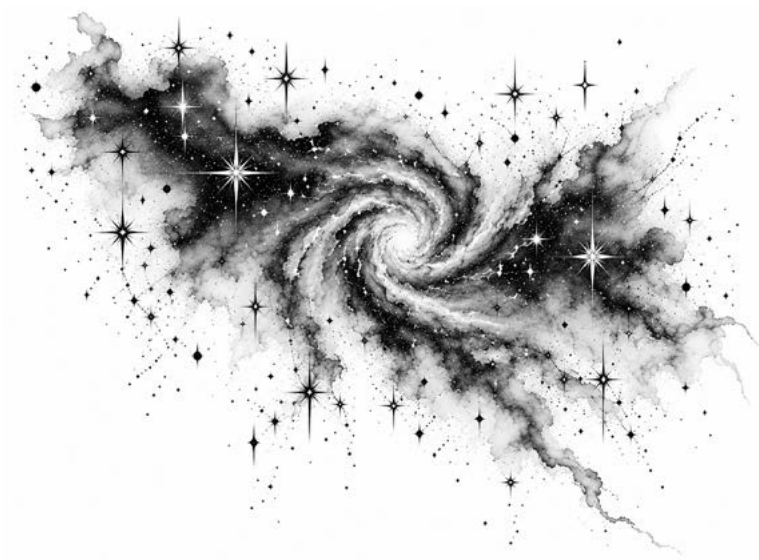
– Tak, i wyglądał na wyjątkowo zadowolonego.

– Zadowolonego? Przecież on nigdy tak nie wygląda.

– No właśnie! – Uśmiechnęła się. – Dlatego się boję.

Vetle przymknął oczy i ruszył do gabinetu.

Mój Boże… co on znowu wymyślił.





Rozdział 2

Vetle wszedł cicho do gabinetu przełożonego. Tarald rozmawiał przez telefon – wyjątkowo radośnie. Skinął, by gość usiadł.

– Tak, oczywiście, drogi Haraldzie – rzucił w słuchawkę, po czym się roześmiał.

Młody prawnik wyprostował się jak struna. Wiedział, że jeśli ktoś był „Drogim Haraldem", to chodziło o Jego Wysokość. Tarald odłożył słuchawkę i zatarł dłonie.

– Tym razem padnie z kretesem! Już czuję smak Château, które postawi w tej partyjce! – zaśmiał się.

– Czyżby Jego Wysokość zaprosił cię na kolejną partyjkę wista?

– Dokładnie! Ten stary furiat znów przegra.

Tylko pokręcił głową.

– Chciałeś się ze mną widzieć – przypomniał.

– Oczywiście! Jak idzie sprawa z budowlańcami?

– Z budowlańcami? Tak nazywasz jedno z największych konsorcjów budowlanych w kraju?

– Budują, więc budowlańcy – odparł z powagą.

– Zamykam ją dzisiaj – odparł Vetle.

– Dobrze. A teraz… co robisz dziś o dziewiętnastej?

– Będę pracował. Dlaczego pytasz?

– Już nie będziesz! – zaśmiał się Tarald. – Pójdziesz dziś na wywiad do radia.

– Słucham?

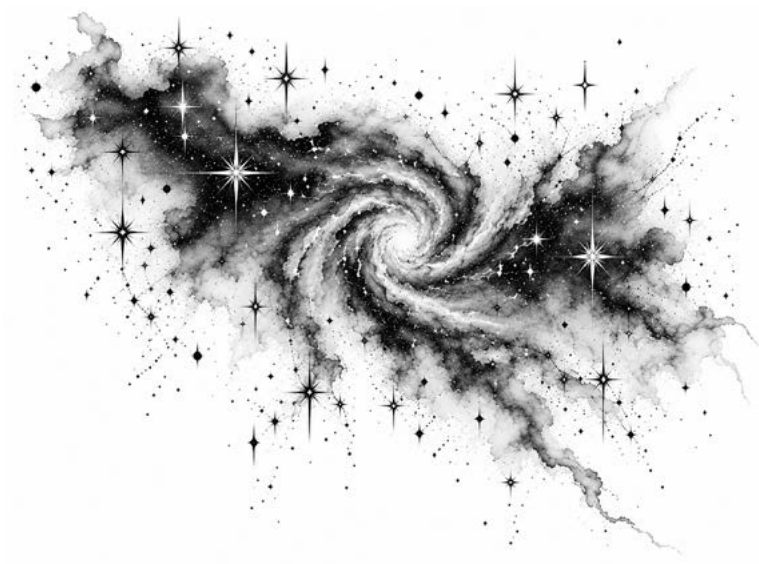
– Tak! Ja nie mogę, Harald by się obraził. A ty, młody, elokwentny, przystojny, idealny!

Vetle zamarł.

– Można to odwołać?

– Nie. Darmowa reklama to nie grzech. – Tarald machnął ręką. – Idziesz.

Vetle westchnął. *Coś tu zdecydowanie jest nie tak…*





Rozdział 3

– Pan Tarald kazał przekazać, że masz być o osiemnastej trzydzieści w radiu NRK 3, studio B – oznajmiła Sofie, stukając w klawiaturę z prędkością karabinu maszynowego.

Stał w progu, jeszcze nieco zdezorientowany szybkością zmian w swoim harmonogramie.

– NRK 3? To nie jest ta stacja, gdzie mówią o sporcie i psach ratowniczych?

– Być może, ale dziś prowadzą audycję „Głos książki". – Dziewczyna uniosła brwi, spoglądając na ekran. – Zaproszono prawnika, który potrafi mówić o literaturze bez usypiania słuchaczy. I, cytuję: „Nie jest zbyt sztywny."

Berg westchnął ciężko.

– Czyli nie ja.

– Oj tam. – Sofie machnęła ręką. – Masz ładny głos, a w radiu to połowa sukcesu. No i uśmiechaj się. Podobno słychać to przez mikrofon.

– Słychać uśmiech? W radiu? – powtórzył powoli, jakby testował absurd.

– Tak mówią radiowcy. Proszę, tu jest adres i numer kontaktowy. – Podała mu kartkę. – A, i jeszcze jedno: prosili, żebyś przyniósł swoją ulubioną książkę. Masz jakąś?

Vetle zamrugał.

– W pracy. Tomik ustaw z 1997 roku się liczy?

– Raczej coś, co ma fabułę, nie przypisy – rzuciła Sofie z uśmiechem. – Może coś, co czyta się dla przyjemności?

– Przyjemność… – mruknął pod nosem. – To chyba nie z naszej branży.

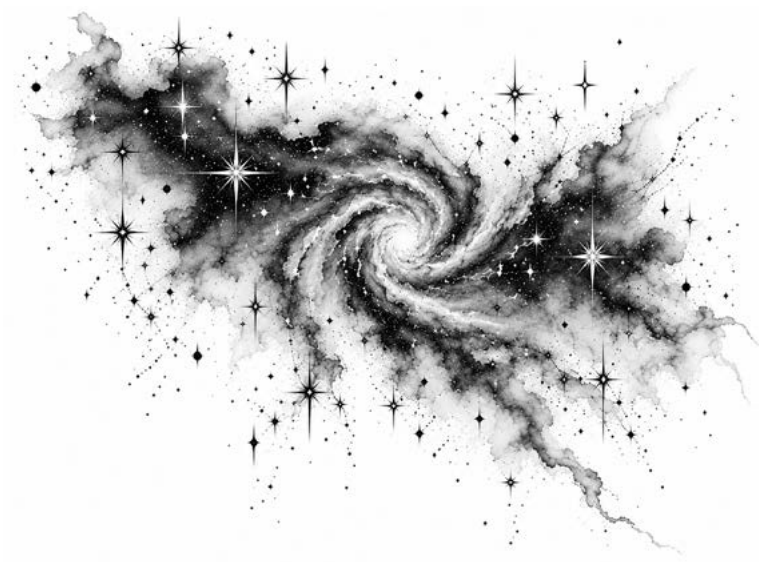
Sofie tylko pokręciła głową.

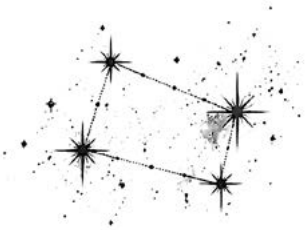
– Vetle, nie martw się. Nie gryzą tam. Z tego, co wiem, prowadzący to sam miód: ciepły głos, zero zadęcia, trochę szalony, ale bardzo profesjonalny.

Podniósł wzrok znad kartki.

– Jak on się nazywa?

– Mikael. Mikael Jonson.





Rozdział 4

Studio radiowe NRK 3 mieściło się w starym, ceglanym budynku, który wyglądał, jakby pamiętał jeszcze czasy, gdy radio było magią, a dźwięk przesyłano złotymi kablami.

Vetle wszedł do środka, trzymając w dłoni czarną teczkę i książkę pod pachą. Recepcjonistka skierowała go do studia B.

Kiedy uchylił drzwi, uderzyło go ciepłe światło lamp, zapach kawy i miękki głos, kończący właśnie poprzednią rozmowę.

– ...a ja uważam, że dobra książka powinna pachnieć – mówił głos z nutą śmiechu. – Jak człowiek. Czasem słodyczą, czasem kurzem, ale zawsze czymś prawdziwym.

Za szybą, w półmroku, stał mężczyzna w ciemnym swetrze, pochylony nad mikrofonem. Miał smukłą sylwetkę, wyraźny profil i oczy, które – nawet zza szkła – zdawały się mówić własnym językiem.

– Pan Berg? – Głos z reżyserki wyrwał go z zamyślenia.

– Tak, Vetle Berg. Kancelaria Mikklasen i Spółka. – Wyprostował się automatycznie.

– Świetnie. Mikael zaraz skończy wejście i zaprosi pana do studia.

Prawnik skinął głową i rozejrzał się. Na ścianach wisiały plakaty z dawnych audycji, a w rogu ktoś zostawił kubek z napisem „Miejsce pracy – drugim domem".

Oni naprawdę są z innego świata – pomyślał, czując dziwną lekkość w powietrzu.

Za szybą Mikael zakończył program, zdjął słuchawki i spojrzał w jego stronę. Uśmiechnął się szeroko. Niewymuszenie, nie służbowo, tylko tak, jakby naprawdę cieszył się, że ktoś przyszedł.

– Pan Berg? – zapytał, wychodząc z pomieszczenia i podając mu dłoń. – Mikael Jonson. Cieszę się, że się udało.

Jego dłoń była ciepła, a uścisk pewny – nie za mocny, nie za słaby.

– Ja również – odparł, wciąż trochę zaskoczony.

– Słyszałem, że jest pan mistrzem w mówieniu o paragrafach tak, że ludzie nie zasypiają. To sztuka.

– To zależy od słuchaczy – odpowiedział sucho, choć kącik ust drgnął mu nieznacznie.

Mikael roześmiał się lekko.

– O, to będzie ciekawa rozmowa. Proszę, kawa, herbata, coś mocniejszego?

– Kawa. Czarna. Bez mleka.

– Wiedziałem. – Mikael puścił do niego oko. – Klasyk.

Berg natychmiast się wyprostował i poprawił garnitur.

– Proszę się tak nie spinać – usłyszał ciepły głos. – Nie gryziemy. Prawda, Panie Bombel?

Zza biurka wychynęła ruda kulka futra – kot z białym krawatem pod szyją, który przeciągnął się z gracją, jakby potwierdzając słowa właściciela.

Mikael uśmiechnął się szerzej.

– Nasz redakcyjny strażnik. Nie martwi się paragrafami, za to ocenia ludzi po zapachu. Jeśli pan przejdzie test, możemy zaczynać.

Vetle parsknął krótko, zaskoczony, że w ogóle potrafi.

– Nie sądzę, żeby przepisy etyki prawniczej przewidywały test kota.

– Och, a szkoda – odparł Mikael, odgarniając ciemny loczek z czoła. – Może byłoby więcej szczęśliwych ludzi.

W studiu panowała cisza, przerywana jedynie delikatnym pomrukiem urządzeń. Czerwone światełko ON AIR zapaliło się, a Mikael przesunął się bliżej mikrofonu, jakby witał starych przyjaciół.

– Dobry wieczór, tu „Głos książki". Dziś moim gościem jest człowiek, który potrafi sprawić, że paragrafy brzmią jak poezja – zawiesił głos teatralnie. – Mecenas Vetle Berg z kancelarii Mikklasen i Spółka.

– Dobry wieczór państwu – odparł spokojnie Vetle tonem, który bardziej pasowałby do sali sądowej niż radiowego studia.

– Zacznijmy od prostego pytania, panie mecenasie. Co pan ostatnio czytał? – Mikael uśmiechnął się, a jego głos miał tę specyficzną miękkość, która nawet z twardego pytania robiła żart.

Nie zastanawiając się ani chwili, odpowiedział:

– Paragraf sto czterdziesty trzeci kodeksu cywilnego.

W studiu zapadła cisza, trwała chwilę, po czym redaktor wybuchł śmiechem.

– To… zdecydowanie nowa forma literatury użytkowej. – Pokręcił głową z rozbawieniem. – Ale może coś dla duszy, nie dla umowy?

Vetle, zaskoczony tonem, chrząknął.

– Dla duszy? – powtórzył, jakby to słowo nie miało dla niego zastosowania.

– Tak, dla duszy. Wie pan, coś, co nie ma przypisu ani numeru strony w Dzienniku Ustaw – odparł Mikael. – Może jakaś książka, do której pan wraca?

– „Błękitny zamek" – wyrwało się Bergowi szybciej niż zdążył pomyśleć.

Radiowiec uniósł brwi.

– Montgomery? No proszę. Nie spodziewałbym się romantyka w todze.

– To… nie tak – zaczął się tłumaczyć Vetle z lekkim rumieńcem. – Po prostu… czytałem to dawno temu.

– Każdy ma swój zamek, panie Berg. Jedni z kamienia, inni z książek. – Mikael uśmiechnął się łagodnie. – Ale powiem szczerze, spodziewałem się raczej Kodeksu marzeń, art. 1: unikać uczuć za wszelką cenę.

Vetle parsknął cicho, pierwszy raz od wejścia do studia.

– Widzę, że lubi pan ironizować.

– To mój sposób na przetrwanie – odparł Mikael z uśmiechem. – Zwłaszcza w świecie, w którym bycie sobą wcale nie jest takie proste.

Ton jego głosu na moment się zmienił – z żartobliwego w ciepły, prawdziwy. Prawnik zesztywniał, jakby ktoś dotknął miejsca, którego od lat nie wolno było ruszać.

– Myślę, że to nie zawsze kwestia odwagi – powiedział po chwili cicho. – Czasem po prostu… trzeba robić to, co trzeba.

Mikael skinął głową, patrząc na niego dłużej, niż wymagała radiowa grzeczność.

– A czasem to, czego się najbardziej boimy, jest tym, czego naprawdę potrzebujemy – powiedział spokojnie. – Ale nie będę się wymądrzał. „Błękitny zamek" mówi za nas obu.

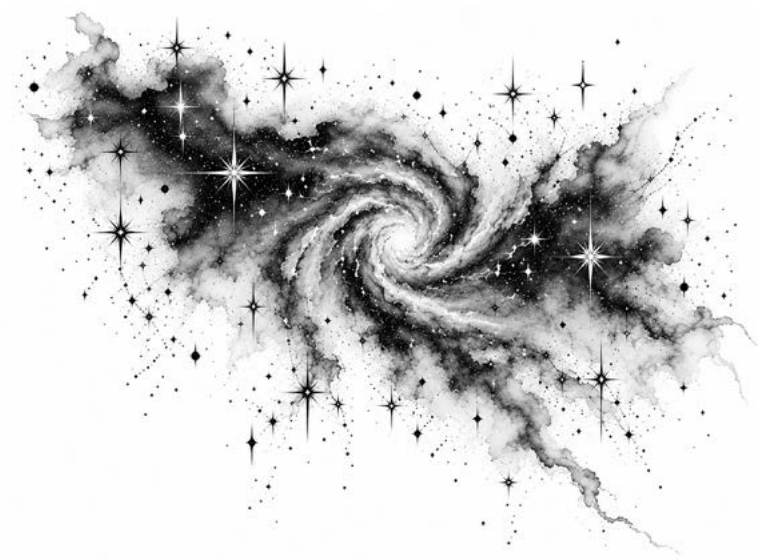
Czerwona lampka zgasła. W studiu na moment zaległa cisza – gęsta, niemal namacalna. Mikael odsunął mikrofon, ale nie odwrócił wzroku od gościa.

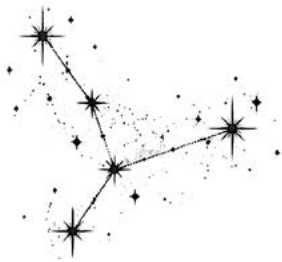
– Wie pan, mecenasie, rzadko ktoś mówi w tym studiu coś tak prawdziwego, nawet przypadkiem.

Vetle poprawił mankiet, szukając ucieczki w rutynie.

– To był tylko tytuł książki.

– Czasem tytuł wystarczy, żeby poznać człowieka – odparł Mikael cicho, a w jego głosie nie było już żartu.





Rozdział 5

Rozmowa o książkach i literaturze płynęła zaskakująco lekko. Mikael, z tą swoją rozbrajającą mieszanką dowcipu i erudycji, zadawał pytania z wdziękiem rasowego konferansjera, sprytnie prowadząc rozmowę z chłodnym prawnikiem w stronę tematów mniej oczywistych.

Ku własnemu zdumieniu odkrył, że gość ma nie tylko ogromną wiedzę, ale i dar precyzyjnego, niezwykle klarownego mówienia. Każde jego słowo było wyważone, a zdania brzmiały, jakby miały wagę wyroku.

Pod koniec audycji Mikael, nieco rozbawiony tą niespodziewaną wymianą intelektualnych ciosów, uznał, że pora wprowadzić odrobinę chaosu. Delikatnie poklepał się po kolanie. Zanim Vetle zdążył zorientować się, co się dzieje, rudy kot zeskoczył z parapetu i powolnym, pełnym gracji krokiem podszedł do gościa. Radiowiec z uśmiechem obserwował, jak Pan Bombel zaczyna obwąchiwać idealnie wyprasowane nogawki prawnika.

Prawnik zesztywniał natychmiast, jakby ktoś kazał mu stanąć na baczność przed sądem najwyższej instancji.

– Panie Bombel… – powiedział Mikael z udawanym oburzeniem. – To absolutnie nieprofesjonalne zachowanie.

Kot, zupełnie nieprzejęty uwagą, wskoczył na kolana Vetlego, przeciągnął się leniwie i zamruczał z zadowoleniem.

– Szanowni państwo. – Mikael zwrócił się do mikrofonu, a w jego głosie pobrzmiewało rozbawienie. – Stała się rzecz niebywała. Pan Bombel właśnie zaadoptował naszego gościa.

Z kabiny realizatorki dało się słyszeć stłumione chichoty. Mecenas siedział wyprostowany, z rękami uniesionymi jak do aresztowania, a jego twarz zdradzała pełne bezradności niedowierzanie.

– To... było dość nietypowe doświadczenie – powiedział, kiedy sygnał kończący audycję wybrzmiał w słuchawkach.

Próbował powoli wstać, odsuwając delikatnie kota z kolan, jednocześnie wyciągnął rękę do prowadzącego.

– Dziękuję za rozmowę.

– Cała przyjemność po mojej stronie. – Mikael uśmiechnął się lekko, jakby wcale nie zamierzał ukrywać rozbawienia.

Vetle skinął głową, zabrał teczkę i wyszedł, zostawiając po sobie zapach chłodnych perfum i poczucie, że coś w tym pomieszczeniu właśnie się zmieniło. Mikael spojrzał na kota siedzącego teraz na stole i pogładził go po rudym grzbiecie.

– Nie strzepnął nawet kłaczków, Panie Bombel – mruknął z uśmiechem. – Ale dobrze wiesz, że on jeszcze wróci.



Chłodne powietrze uderzyło Berga w twarz, gdy wyszedł ze studia. Zimowy wiatr znad fiordu pachniał mokrym kamieniem i świeżo paloną kawą z pobliskiego kiosku. Odetchnął głęboko, jakby chciał zmyć ostatnie pół godziny – tę

zbyt swobodną rozmowę, śmiech prowadzącego, a przede wszystkim… kota. Pan Bombel. *To absurd* – pomyślał.

Adoptowany przez kota w trakcie wywiadu. Prawnik z dziesiątkami wygranych spraw, cytowany w prasie branżowej… i kot. Na kolanach. Na antenie. Przetarł twarz dłonią i westchnął cicho.

– Świetnie, naprawdę świetnie – mruknął do siebie. – Już widzę ten tytuł w lokalnej prasie: „Prawnik i kot. Przyjaźń od pierwszego mruczenia".

Ruszył w stronę przystanku, trzymając w dłoni styropianowy kubek z resztką kawy, którą wcześniej wcisnął mu Mikael. Kiedy szedł, w jego głowie jak refren powracały słowa: „A co dla duszy?" „Błękitny zamek…".

Dlaczego akurat to powiedział? Nie miał pojęcia. Ostatni raz czytał tę książkę jako dziecko, w domu, z matką. To ona zawsze powtarzała, że każdy potrzebuje swojego Błękitnego Zamku – miejsca, w którym można być sobą.

Dawno o tym nie myślał. Dawno nie myślał o niczym innym niż o pracy. Uśmiechnął się, sam nie wiedząc, dlaczego.

Na rogu ulicy minął witrynę sklepu papierniczego. Wystawione w niej pióra, kalendarze i notatniki wyglądały jak z innego świata – świata, w którym ludzie mają czas, by coś zapisać, zaplanować, poczuć. Ku swojemu zdumieniu, zatrzymał się na moment i wszedł do środka.

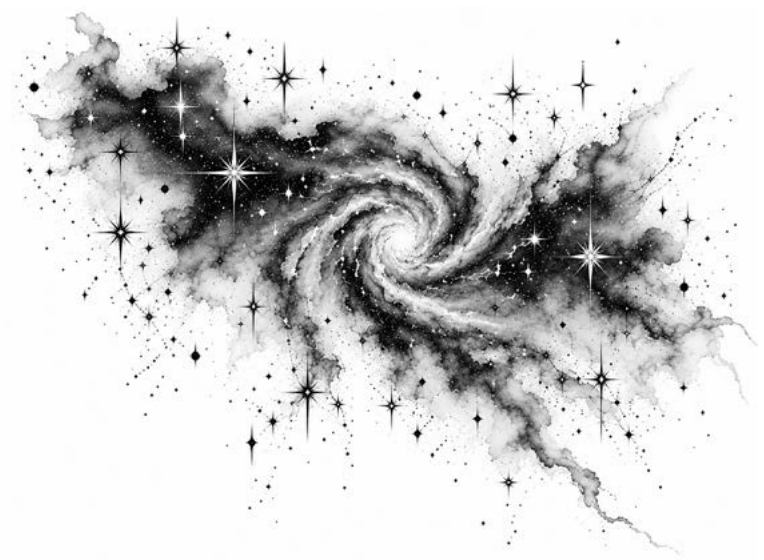
– Dzień dobry – przywitała go ekspedientka.

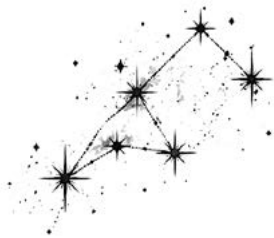
– Dzień dobry – odpowiedział. – Poproszę… hm… notes. Mały. Do notatek osobistych.

Kiedy wychodził ze sklepu z notesem w ręku, przez moment miał wrażenie, że powietrze wokół niego jest jaśniejsze. Jakby odrobinę cieplejsze. Otworzył notes i na pierwszej

stronie, bez zastanowienia, napisał: „Głos książki. Mikael Jonson. Kot – Pan Bombel."

Zamyślił się. Może jednak Tarald Mikklasen nie był taki szalony, jak mu się wydawało.





Rozdział 6

W studiu panował znajomy półmrok. Migoczące diody konsolety, szmer kabli, lekki zapach kurzu i świeżo zaparzonej kawy. W powietrzu wciąż unosiło się echo rozmowy – miękkie słowa, śmiech, ciepły głos Mikaela i ten drugi: rzeczowy, chłodny, który jednak gdzieś pod skórą skrywał żar.

Mikael ściągnął słuchawki i odchylił się w fotelu.

– No i proszę, Panie Bombel – mruknął, zerkając na kota, który, jak gdyby nigdy nic, leżał zwinięty na pulpicie mikserskim. – Zrobiłeś furorę. Wystarczy pięć minut i adoptujesz takiego gościa.

Kocur przeciągnął się leniwie, ziewnął i… prychnął, jakby chciał coś powiedzieć. Z kabiny realizatorskiej wyszedł Bjørn – krępy mężczyzna o wiecznie potarganych włosach i w koszuli z podwiniętymi rękawami. Szybko poprawił okulary na nosie.

– No, Mikael, nie mów, że tego nie widziałem. – Uśmiechnął się z przekąsem, stając przy stole. – Ktoś tu komuś ewidentnie wpadł w oko.

– Daj spokój, Bjørn. – Mikael machnął ręką, zgrywając obojętność. – On jest z innego świata. Garnitur, paragrafy,

cisza i punktualność. Tacy ludzie nie wchodzą do mojego życia, tylko przelatują przez antenę.

– Ooo, a jednak zauważyłeś, że przeleciał – zaśmiał się realizator.

– W życiu taki facet by mi się nie spodobał. – Sięgnął po notatki, próbując zatuszować rumieniec, który niebezpiecznie zaczynał się pojawiać na policzkach. – Zbyt sztywny, zbyt poważny, zbyt idealny. I… – zawiesił głos, uśmiechając się półgębkiem – …zbyt nieświadomy tego, że koty mają doskonały instynkt.

Kot, jakby na potwierdzenie, prychnął jeszcze głośniej i zwinął się w kłębek, uderzając ogonem o konsolę.

– No widzisz – parsknął Bjørn. – Sam Pan Bombel nie zgadza się z tobą. To był materiał na drugie spotkanie, stary. I w sumie mamy okazję…

– Jaką znowu okazję? – spytał Mikael podejrzliwie.

– Za dwa tygodnie pokaz balonów na cześć królowej. Wiesz, ta impreza na fiordzie. Będzie transmisja na żywo, „Głos książki" w plenerze.

– Co w związku z tym?

– Może zaprosimy znowu tego elokwentnego prawnika? – Bjørn uśmiechnął się szeroko. – Niech opowie o literaturze z perspektywy człowieka, który czyta kodeksy do poduszki.

Mikael roześmiał się głośno, aż Pan Bombel uniósł głowę.

– Ty naprawdę chcesz zamienić się w swatkę? – spytał z niedowierzaniem.

– Nie, nie – odparł Bjørn z udawaną powagą. – Ale wiesz, radio lubi kontrasty. Ty: emocje. On: logika. Idealna mieszanka.

Mikael pokręcił głową, ale w jego oczach coś błysnęło.

– Dobra, pomyślę o tym. – Uśmiechnął się sam do siebie. – Może świat potrzebuje odrobiny dyscypliny… i kota, który potrafi dobierać ludzi.

Kot zamruczał głośno, jakby właśnie potwierdzał decyzję.



Mijał tydzień, podczas którego Vetle nie miał nawet chwili, by pomyśleć o audycji radiowej, o jej prowadzącym, a już na pewno nie o rudym kocie o imieniu Pan Bombel. Jednak los miał inne plany.

Tego zimnego, poniedziałkowego poranka, gdy jak zwykle poprawiał mankiety i zapinał płaszcz, dostrzegł na rękawie kilka rudych kocich włosków. Zamarł. Jakby ktoś dotknął struny, o której istnieniu zdążył zapomnieć. Przed oczami stanęły mu ogromne, orzechowe oczy radiowca – błyszczące, rozbawione, pełne ciepła.

Tak bardzo wytrąciło go to z równowagi, że po raz pierwszy od wielu lat, wchodząc do ulubionej kawiarni, zamówił nie czarną bez mleka, ale orzechowe cappuccino. I bajgla. Baristka przez chwilę patrzyła na niego z otwartą buzią, jakby nie dowierzała, że ten poważny pan Berg mówi właśnie o orzechowym cappuccino.

Vetle, zbyt późno uświadamiając sobie, co właśnie powiedział, sapnął cicho, chwycił kubek i najzwyczajniej w świecie uciekł. Po raz pierwszy od siedemnastu lat. Szedł ulicami Oslo, mamrocząc coś pod nosem. Przechodnie przyglądali mu się zdziwieni – trzydziestodwuletni prawnik, zwykle uosobienie opanowania, wyglądał teraz jak człowiek, który zgubił mapę własnego życia.

W kancelarii Sofie postawiła dziś na klasyczną małą czarną z futrzanym kołnierzem w kolorze pomarańczy. Do tego żółte okulary i wyśmienity nastrój. Od progu zasypała go lawiną informacji i listą zadań, po czym wręczyła mu niebieską kopertę z logo radia.

– Dostałeś zaproszenie do audycji podczas Święta Królowej – oznajmiła z triumfem. – No, no, ktoś tu idzie w karierę medialną! Szef kazał potwierdzić.

Vetle uniósł brwi.

– Że… co proszę?

Sofie zniknęła w swoim kolorowym biurze, a Berg jeszcze przez chwilę obracał w dłoniach niebieską kopertę z logo radia. Wiedział, że to nie jest przypadek. Westchnął ciężko. Zanim jednak zdążył ją schować, zza uchylonych drzwi dobiegł go dobrze znany, głęboki głos.

– Vetle, do mnie! – zawołał Tarald Mikklasen, a ton wezwania nie wróżył niczego dobrego.

Wszedł do gabinetu z wyraźnym wahaniem. Tarald siedział za biurkiem, jak zwykle otoczony stertami akt i spokojnie bębnił palcami o blat. Na ekranie komputera zamajaczyła zakładka z logo radia, ale stary adwokat błyskawicznie ją zamknął, jakby przeglądał coś niewłaściwego.

– Siadaj, mój chłopcze – rzucił tonem tak uprzejmym, że Vetle natychmiast poczuł, iż nie zwiastuje on niczego dobrego.

– Sofie wspominała o… zaproszeniu z radia – zaczął ostrożnie.

– A, tak, tak! – Tarald zatarł dłonie. – Cóż za cudowny zbieg okoliczności, prawda? – Uśmiechnął się lekko, a jego oczy błysnęły tym charakterystycznym, prawniczym

błyskiem, który zawsze oznaczał, że coś ukrywa. – Ktoś musi reprezentować naszą kancelarię na tej audycji o książkach. Tym bardziej, że to w trakcie święta naszej Sonji. A ty, mój drogi, masz do tego naturę człowieka słowa.

Vetle uniósł brew.

– Naprawdę?

– Ależ oczywiście. – Mikklasen założył okulary i z udawaną nonszalancją sięgnął po pióro. – Poza tym, jeśli mam być szczery, potrzebujesz odrobiny świeżego powietrza. I rozmowy, która nie zaczyna się od paragrafu, a kończy w sądzie.

– Czyżbyś uważał, że mam deficyt rozmów towarzyskich?

– Nie, nie, skądże – odparł szybko, z przesadną powagą. – Po prostu świat ma tendencję do zaskakiwania nas ludźmi, których spotykamy przypadkiem.

– To znaczy?

– Och, nic, nic – machnął ręką. – Jedź, zrób dobre wrażenie. Zadbaj, żeby wspomnieli o naszej kancelarii, no i bądź sobą.

– Panie Mikklasen… – Vetle zmarszczył brwi. – Coś pan planuje?

Tarald podniósł wzrok znad papierów. Jego twarz była kamienna, ale kąciki ust nieznacznie drgnęły.

– Ja? Ależ skąd. Przecież jestem tylko starym prawnikiem, który kocha książki i swojego podopiecznego.

– Hmm. – Berg już wiedział, że kłamie.

Kiedy wyszedł z gabinetu, Tarald przez chwilę patrzył na zamknięte drzwi, po czym sięgnął po telefon.

– Halo, Harald? Tak, tak, wszystko zgodnie z planem. – Uśmiechnął się pod nosem. – Tak, on nawet nie wie, w co go właśnie wplątałem. Jak to dobrze, że zgłosiłem go do tej

audycji. Może pozna tam nowych przyjaciół albo kogoś… zresztą, tak czy inaczej. Myślę, że będzie dobrze.

Vetle siedział przy biurku, wpatrując się w ekran laptopa, na którym od pół godziny migał ten sam, niedokończony pozew. Migający kursor zdawał się drwić z niego niczym mały, bezlitosny metronom przypominający o obowiązkach. Pokaz balonów dla królowej i audycja o kotach… znaczy, o książkach.

Właśnie tak to brzmiało w jego głowie i niestety, wcale nie brzmiało poważnie. Westchnął ciężko, nacisnął przycisk interkomu i spokojnym głosem powiedział:

– Sofie, czy możesz na chwilę?

Drzwi gabinetu otworzyły się z rozmachem, jak zawsze. Sofie nigdy nie wchodziła – ona wpadała, niczym kolorowy huragan.

– Co potrzeba, złotko? – zapytała, zerkając na niego znad szkieł.

– Sofie… – Vetle potarł czoło. – Co powinienem wiedzieć o najnowszych książkach? Takich… do czytania.

– A o jakich innych miałbyś wiedzieć? – zapytała podejrzliwie.

– No wiesz, nie prawniczych, tylko… normalnych.

Kobieta założyła ręce na biodrach.

– Ja na przykład czytam tylko romanse. Mówiłam ci już o tym chyba z tysiąc razy.

Vetle uniósł brwi.

– Romanse?

– No pewnie! – rzuciła z dumą. – Chyba nie myślisz, że wieczorem ktoś dobrowolnie sięga po projekty ustawy o podatku gruntowym? Mężczyzna spojrzał na nią poważnie.

– A co w tym złego?

– Nic, złotko – westchnęła teatralnie. – Ale to bardzo dziwne hobby, nawet jak na ciebie.

– No tak, oczywiście – mruknął, poprawiając mankiet. – To jaki najnowszy romans powinienem przeczytać, żeby brzmieć… normalnie?

Sofie rozsiadła się wygodnie w fotelu naprzeciwko i z namysłem założyła nogę na nogę.

– Notuj, złotko. „Miłość w chmurach", „Zakochany w sąsiadce" i… – spojrzała na niego z przekornym błyskiem – „Adwokat, który nauczył się kochać".

Vetle zmarszczył brwi.

– To ostatnie brzmi… irracjonalnie.

– Tak, bo napisała to twoja ciotka, złotko. – Sofie zachichotała. – Ale nie martw się, tam też był taki spięty typ w garniturze, który myślał, że życie to paragrafy.

Berg zamknął laptop, wstał i z rezygnacją powiedział:

– Czasem mam wrażenie, że pracuję w cyrku, nie w kancelarii.

– A jednak, to cyrk, w którym wszyscy kochają swojego klauna. – Sofie puściła do niego oko. – I pamiętaj, uśmiech na antenie. Radio wyczuwa spięcie!



Rozdział 7

Vetle, w idealnie skrojonym, prążkowanym garniturze i jasnym płaszczu, stał pośrodku otwartego, plenerowego studia, zupełnie nie wiedząc, co tu właściwie robi. Kolana lekko mu drżały i szykował się do taktycznego odwrotu, gdy nagle przed nim wyrósł redaktor Mikael Jonson. Ciepły, pomarańczowy sweter, bordowe spodnie i ocieplana kamizelka w... koty? Tak, w koty!

Uśmiechnął się szeroko i wyciągnął rękę na powitanie, więc Berg nie mógł już stąd uciec. Jego doskonałe maniery nie pozwalały zignorować wyciągniętej dłoni. Szybko więc, mocnym ruchem, chwycił dłoń Mikaela i wymamrotał powitanie.

Dziennikarz poprowadził go do stołu, na którym stał rozstawiony sprzęt. Z oddali pomachał im ten sam realizator, co ostatnio. Przy stoliku czekała już kobieta w dużych, rogowych okularach – pani Henrietta Karlsen, specjalistka od literatury współczesnej i najpopularniejsza bibliotekarka w Oslo. Vetle przywitał się z nią uprzejmie i zdążył wymienić kilka słów, gdy Mikael dał znak, że za chwilę wchodzą na antenę.

Po krótkim powitaniu i złożeniu życzeń z okazji Święta Królowej, redaktor zgrabnie zmienił temat na literaturę współczesną objętą patronatem dworu. Najpierw wypowiadała się pani Karlsen, potem rozmowa płynnie przeszła w luźną dyskusję o tym czy młodzi, zapracowani ludzie mają czas na czytanie.

Vetle słuchał, choć w głowie powoli dryfował w kierunku paragrafów, kodeksów i aktów prawnych. Nagle usłyszał własne nazwisko.

– A pan, panie Berg? – zapytał Mikael z błyskiem w oku.

– Że ja… co? – wyjąkał kompletnie zaskoczony.

– Co by pan polecił młodym prawnikom? – zapytała pani Karlsen.

I wtedy wydarzyło się coś, co słuchacze tej audycji wspominali jeszcze długo.

Bo oto jeden z najlepszych prawników, specjalista od prawa spółek i podatków, wypalił pewnym tonem:

– „Zakochany w sąsiadce". Zdecydowanie bym polecił.

Gdy tylko wypowiedział te słowa, poczuł, jak gorący rumieniec wspina mu się po szyi. Mikael otworzył szeroko oczy i w milczeniu wpatrywał się w sztywnego prawnika. Na szczęście pani Karlsen, z niewzruszoną miną, natychmiast podjęła temat, wygłaszając płomienną przemowę o popularyzacji współczesnego romansu wśród młodych czytelników. Mikael ledwo powstrzymał śmiech, a realizator Bjørn, zza konsoli, dyskretnie wytarł łzy rozbawienia.

– To by było na tyle, moi drodzy słuchacze – zakończył Jonson z rozbrajającym uśmiechem, zdejmując słuchawki. – Dziękujemy pani Karlsen i naszemu wyjątkowemu gościowi,

mecenasowi Vetle Bergowi, za inspirującą rozmowę o romantyzmie w paragrafach.

Pani Karlsen dygnęła z uśmiechem, a Vetle – blady jak kreda – tylko przytaknął. W głowie wciąż słyszał własne słowa: „Zakochany w sąsiadce". Jak on mógł to powiedzieć? Właściwie jak to się w ogóle stało? Gdyby nie fakt doskonałej znajomości prawa, zapewne zamordowałby Sofie. Te jej pomysły!

Zanim zdążył się nad tym głębiej zastanowić, Mikael podszedł do niego i położył mu rękę na ramieniu.

– Wie pan, panie mecenasie... – zaczął z udawanym namysłem. – Ma pan w sobie coś, co rozczula ludzi.

– Co? – Berg zmarszczył brwi.

– Autentyczność – odparł Mikael, uśmiechając się z błyskiem w oku. – Rzadki gatunek.

– Ja... ja tylko odpowiedziałem na pytanie – wymamrotał prawnik, próbując odsunąć się o krok.

– I zrobił pan to z taką pasją, że chyba połowa słuchaczek teraz szuka pańskiego numeru w książce telefonicznej.

Poczuł, jak rumieniec znowu wraca.

– Nie ma mnie w książce telefonicznej – rzucił sucho.

– Jeszcze lepiej – zaśmiał się Mikael. – Znaczy, że trzeba pana szukać osobiście.

Zanim Vetle zdążył odpowiedzieć, radiowiec niespodziewanie dodał:

– Chodźmy na spacer.

– Słucham?

– Spacer. Po parku, tam, gdzie startują balony. Piękne widowisko. Może znajdziemy inspirację do kolejnej

rozmowy – powiedział lekko, jakby to była najnaturalniejsza propozycja świata.

Vetle spojrzał w stronę alejki, gdzie już szykowano kolorowe balony do startu. Błękitne, czerwone i złote kopuły kołysały się delikatnie na wietrze. Ludzie krzątali się wokół, śmiejąc się i robiąc zdjęcia. To było wszystko, czego starannie unikał – tłum, hałas, chaos.

– Nie wiem, czy to… odpowiednie – mruknął.

– Odpowiednie jest to, co daje człowiekowi oddech – odparł spokojnie Mikael. – A pan, panie Berg, wygląda, jakby dawno nie oddychał.

Vetle nie odpowiedział. Zamiast tego skinął głową, jak człowiek, który pozbył się wszelkiej nadziei na szybką ucieczkę. Ruszyli w stronę balonów, a Mikael, z rękami w kieszeniach, opowiadał coś o radiu, o książkach i o tym, że jego kot jest zazdrosny o mikrofon. Prawnik słuchał, a wiatr rozwiewał ich słowa w powietrze. I po raz pierwszy od dawna, zamiast myśleć o przepisach, paragrafach i obowiązkach… po prostu się uśmiechnął.

Spacerowali niespiesznie pośród różnobarwnych balonów i wiklinowych koszy. Vetle był szczerze zaskoczony tym, jak oczytany i elokwentny jest Mikael. Mówił o książkach z pasją i zachwytem, często gestykulując i śmiejąc się głośno. Tak naprawdę to mówił głównie radiowiec, a on – po raz pierwszy od dawna – po prostu słuchał. Słuchał i obserwował.

Mikael Jonson był inny niż ktokolwiek, kogo Vetle znał. Wysoki, szczupły, o karmelowym odcieniu skóry, ciemnych, lekko kręconych włosach i tych magicznych, orzechowych oczach, w których odbijało się całe ciepło świata. Uśmiechał się

często, a wtedy w jego policzku pojawiał się mały dołeczek. I Berg, choć sam siebie nie poznawał, musiał przyznać – było to urocze.

– A co z kotem? – wypalił nagle, przerywając opowieść o literackich bohaterach. Mikael aż przystanął. Spojrzał na niego tak uważnie, że Vetle poczuł, jak zdradzieckie ciepło wspina mu się po szyi.

– Pan Bombel spędza dziś dzień z moją mamą – odparł z rozbawieniem. – Zapewne skończy się to przejedzonym kotem i nerwicą mojej matki, ale to siła wyższa. Nie mogłem go tu zabrać. Za dużo ludzi.

– Faktycznie… za dużo – mruknął Vetle, rozglądając się niespokojnie.

– Nie lubisz tłumów? – zapytał łagodnie Mikael.

– Nienawidzę.

Radiowiec uśmiechnął się tylko i rozejrzał po placu. Po chwili, jakby nagle wpadł na genialny pomysł, chwycił Berga za rękę i pociągnął w stronę jednego z balonów.

– Chodź! Wejdziemy do środka, będzie ciszej! – zawołał z entuzjazmem, już wspinając się na krawędź kosza.

Mężczyzna zamarł. Po pierwsze – nigdzie nie było widać właściciela balonu. Po drugie – pomysł „latania" czymś, co wyglądało jak kosz na pranie z gigantyczną świecą, absolutnie nie mieścił mu się w głowie. Mikael był już jedną nogą w środku, a Vetle zrobił to, co podpowiedział mu instynkt – szarpnął go mocno za rękę.

Niestety, prawa fizyki okazały się bezlitosne. Mikael zachwiał się, kosz zafalował, a potem wszystko potoczyło się błyskawicznie. Jonson runął prosto na Berga, który, próbując

go złapać, sam stracił równowagę. Wylądowali z głośnym hukiem w trawie – Mikael na Vetlem.

Przez sekundę obaj tylko oddychali ciężko, próbując zrozumieć, co się właśnie wydarzyło. Mikael, wciąż leżąc na nim, spojrzał w najbardziej przerażone, niebieskie oczy, jakie widział w życiu. A potem, zaskoczony, zauważył coś jeszcze – usta Vetlego. Zaskakująco ładne i zdecydowanie zbyt blisko.

– A to ci dopiero... – wymruczał ochrypłym głosem.

– Się narobiło – wydusił zmieszany Vetle, nie bardzo wiedząc, co zrobić z rękami, które wciąż obejmowały Mikaela.

– Może byś tak zszedł ze mnie? – mruknął przez zaciśnięte zęby, bo Mikael wciąż nie ruszył się ani o milimetr.

– Oczywiście, wybacz! – Jonson poderwał się z gracją słonia w składzie porcelany. Potknął się o własny szalik i omal znowu nie wylądował w objęciach prawnika.

Vetle tylko westchnął i wstał, otrzepując płaszcz z trawy, jakby próbował w ten sposób strząsnąć z siebie całą tę sytuację.

– Wspaniale... – wymamrotał. – Z całą pewnością mój garnitur nigdy nie był w tak bliskim kontakcie z ziemią.

– I z dziennikarzem! – dodał wesoło Mikael, uśmiechając się szeroko.

Mężczyzna rzucił mu spojrzenie, które mogłoby zamrozić fiord w trzy sekundy.

– Ty chyba nie potrafisz się nie śmiać, prawda? – zapytał chłodno.

– Nie bardzo. Próbowałem raz, ale wtedy nawet Pan Bombel się obraził – odpowiedział Mikael, całkiem poważnie. –

Poza tym nie codziennie przystojny prawnik ląduje pode mną na trawie.

– Czy ty w ogóle słyszysz, co mówisz?

– Owszem. I powiem ci, że brzmi to coraz lepiej.

Vetle przymknął oczy, policzył do dziesięciu po łacinie i wziął głęboki oddech.

– Niech mnie ktoś zastrzeli – mruknął, na co Mikael tylko parsknął śmiechem.

Przez chwilę szli w ciszy, dopóki Jonson nie zatrzymał się przy jednym z ogromnych, kolorowych balonów, na którego koszu trzepotała flaga z herbem królowej.

– Wiesz, że te balony wystartują dziś o zachodzie słońca? – powiedział cicho, już zupełnie innym tonem. – To piękne. Leci się wtedy nad całym miastem. Oslo mieni się w złocie. Jak z jakiegoś snu.

Vetle spojrzał na niego z boku. Po raz pierwszy od początku tej znajomości Mikael mówił spokojnie, z odrobiną melancholii.

– Latasz często? – zapytał.

– Za często – przyznał Mikael. – Zawsze wtedy, gdy próbuję coś zrozumieć. Albo o kimś zapomnieć.

Wiatr poruszył ich płaszczami. Przez dłuższą chwilę po prostu stali, patrząc w niebo, gdzie kolorowe balony powoli wznosiły się ku chmurom. Vetle odchrząknął.

– Muszę już wracać.

– Oczywiście – uśmiechnął się Mikael. – Ale następnym razem to ja wybiorę miejsce spotkania.

– Następnym razem? – powtórzył zaskoczony.

– No chyba nie myślisz, że pozwolę ci tak po prostu zniknąć, panie Berg. Ludzie chcą znać dalszy ciąg historii o prawniku i sąsiadce!

Vetle spojrzał na niego spode łba, ale w kąciku ust pojawił się cień uśmiechu.

– Ty się nigdy nie poddajesz, prawda?

– Nigdy – odparł Mikael z błyskiem w oczach. – To by zabiło całą zabawę.

